

ADÈLE ROSENFELD

PRZEŁOŻYŁ PAWEŁ ŁAPIŃSKI



*Meduzy
nie mają
uszu*

MO
VA

*Meduzy
nie mają
USZU*

ADÈLE ROSENFELD

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ
PAWEŁ ŁAPIŃSKI



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Les Méduses n'ont pas d'oreilles

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Małgorzata Denys
Projekt okładki i grafiki: © Dorota Piechocińska
DTP: pagegraph.pl

Copyright © Éditions Grasset & Fasquelle, 2022

Copyright © 2024 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Paweł Łapiński, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-039-6

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



I.

Chodziło o szpitalne skrzydło imienia Castaigne'a, ale ja usłyszałam „kastaniet”. Zanim przeszłam przez wahadłowe drzwi przypominające te z westernów, zauważyłam przy nich małą tabliczkę z napisem: „Otorinolaryngologia (ORL), chirurgia głowy i szyi, implantologia”. Najbardziej spodobało mi się pierwsze słowo, które znałam już wcześniej. Jako dziecko myślałam, że to najdłuższe słowo, jakie istnieje.

Głuche dudnienie w uszach odzwierciedlało tempo mojego pulsu. Zająłam miejsce na końcu korytarza, obok stolika, na którym leżały specjalistyczne czasopisma o głuchocie. Okładka jednego z nich zapowiadała prawdziwe historie o izolacji w miejscach pracy. Po każdej przeczytanej linii unosiłam wzrok, żeby nie przegapić wizyty, aż wreszcie zorientowałam się, że naprzeciwko mnie, tuż przed magazynem „Trzydzieści Milionów Głuchych”, zatrzymała się jakaś starsza kobieta na wózku inwalidzkim. Przeczytałam tekst umieszczony w ramce na okładce czasopisma: „Język potrafi być asekuracyjny albo nawet pełnić

rolę ochronną: komplikujemy słowa, bo wydaje nam się, że w ten sposób możemy złagodzić ich znaczenie. Wstydzimy się mówić o was: głusi, ślepi, starcy, chorzy psychicznie. Stąd te wszystkie określenia: niedosłyszający, niewidzący, seniorzy, pacjenci specjali. Jeszcze chwila i martwych zaczniemy nazywać żyjącymi inaczej”. Kiedy się zorientowałam, że ta starsza pani, seniorka, osoba wiekowa – sama już nie wiem, jak powinno się mówić o takich ludziach – z jakiegoś powodu na mnie krzyczy, przerwałam jej:

– Przykro mi, ale zapewne słyszę tak samo słabo jak pani.

Ona jednak w ogóle nic nie rozumiała i dalej ciągnęła swój ochrypły monolog.

– Zapraszam – zwrócił się do mnie jakiś mężczyzna, kończąc monolog starszej pani. Poszłam za nim do wyściełanej obiciem budki, a on zamknął za mną drzwi. Przyglądałam się ogromnej klamce z chromowanego żelaza i nie mogłam się powstrzymać, żeby nie porównać jej do wystroju chłodni w rzeźniach. Tylko że tutaj zabijało się dźwięk – drobiazgowo, kawałek po kawałku. Mężczyzna nałożył mi słuchawki na uszy – delikatnie, jakby mocował elektrody na głowie kury – po czym wręczył mi joystick. Dotarły do mnie pierwsze dźwięki, słyszałam tylko niektóre, reszta wyłącznie pulsowała przy moich bębenkach.

Potem przyszła kolej na słowa, miałam za zadanie powtarzać całą ich listę niczym ranna papuga. Często było to absurdalne i musiałam walczyć z wyobraźnią, która zakradała się w przerwach między kolejnymi wyrazami.

włos
cytryna

skała
żołnierz
konwalia
guzik
szklarz
suknia
miednica

Niski głos wypowiadał miarowo kolejne słowa, które stopniowo robiły się coraz bardziej przytłumione, aż wreszcie gubiły się we mgle. Musiałam gonić za nimi w swojej głowie ogarniętej zmierzchem i walczyć z pojawiającymi się tam krajobrazami stanowiącymi schronienie przed wyrwami po pociskach języka. Zazwyczaj szwendałam się po ciszy i zagubionych słowach, dawałam się ponieść ich wyobrażonej mocy, ale tym razem rzeczywistość była tak wyszczerbiona przez uszczuplone dźwięki, że obrazy rodziły się we mnie z całkiem nową siłą. Miałam teraz przed oczami staroświecki świat tuż po wojnie – była to historia o mężu, który wrócił na swoją wieś spośród martwych i na nowo odkrywał zapomniany świat. Widziałam jego twarz przeciętą na pół przez światło, słyszałam, jak słabym głosem nazywa kolejne rzeczy, żeby przyswoić sobie z powrotem życie, które kiedyś miał. Powiedział „włos”, a jego spojrzenie gubiło się w lokach jego żony, która szlochała milcząco. Potem jego oczy zboczyły na kosz z owocami i mężczyzna powiedział „cytryna”, następnie podniósł wzrok na okno, z którego było widać opadające stromo bretońskie wybrzeże, i wskazał je ustami: „skała”. Wtedy przypomniał sobie, skąd wrócił – słowo „żołnierz” przywołało wszystkie pory roku, które spędził w wojsku.

Powiedział „konwalia”, patrząc na ten kawałek wiosny, który kiwał się między nią a nim i który ostatecznie rozdarł jego pierś. Spuścił wzrok, żeby ukryć zaszkłone oczy, i wymówił słowo „guzik”, a wtedy widok munduru przywołał z pamięci wszystkich innych żołnierzy. Jego usta opuścił wyraz „szklarz” – umarł na jego oczach. Potem jednak męczyzna szepnął jeszcze coś, czego jego żona nie mogła dosłyszeć: „suknia” – szklarz zawsze trzymał przy sobie kawałek sukni pewnej kobiety, którą kochał. Żołnierz nie mógł powstrzymać uśmiechu, który aż go przepęłniał, dopóki nie wypowiedział słowa „miednica” – tak głośno, że jego żona aż podskoczyła – kiedy z przestraszonym wzrokiem przypominał sobie miednicę innego żołnierza, którego pocisk artyleryjski rozerwał na strzępy.

– A teraz druga strona – powiedział audiometrysta, wskazując na moje lewe ucho. Opowieść o żołnierzu rozbrzmiała w moim głuchym uchu. Dźwięki odbijające się od martwego bębna układały się w ścieżkę dźwiękową jego wspomnień. Ślad pamięciowy kolejnych słów przeistoczył się w obecność.

Usiadłam z powrotem na krześle w poczekalni, żeby ocenić moje ubytki na audiogramie. Uważnie przyjrzałam się krzywej linii naniesionej na kawałek papieru w kratkę z osiami odciętych i rzędnych, na których określano natężenie dźwięku. Wyglądało to trochę jak zdjęcie lotnicze plaży w Normandii w dzień desantu: przypływ ciszy pokrywał ponad połowę kartki.

2.

W gabinecie otorynolaryngologicznym wisiały plakaty z przekrojem ucha wewnętrznego utrzymane w czerwonych i niebieskich barwach. Ucho zewnętrzne było przedstawione w banalnym różu, a ucho wewnętrzne – najpierw w kolorze piaskowym, potem karminowym, następnie w odcieniu różowego beżu – docierało do niebieskiego labiryntu, czyli ślimaka. Ten z kolei faktycznie wyglądał jak ślimak po burgundzku, którego za długo gotowano.

Lekarz zasiadł za biurkiem, trzymając w rękach moją dokumentację medyczną ze wszystkimi audiogramami, po czym zaczął uderzać w dramatyczne tony. Kiedy specjalista od implantów na widok waszego ostatniego audiogramu zaczyna mówi do was jak do idioty, nie zapowiada to nic dobrego. Poczułam się trochę słabo.

– No więc straciła pani piętnaście decybeli, to dużo.

Wyjaśniłam jej, jak do tego doszło, albo raczej jak do tego nie doszło.

Żadnych wcześniejszych objawów – zresztą czy zawsze muszą być jakieś wcześniejsze objawy?

To się pojawiło tak nagle, z niczego.

To znaczy dobrze, faktycznie trafiła mi się jedna czy dwie chwile zawieszenia, kiedy docierało do mnie, że odcięło mi dźwięk.

Za pierwszym razem w Londynie, na początku sierpnia, gdy piłam kawę i kelner coś do mnie mówił. Stał przede mną i ruszał wargami, ale z jego ust nie dobiegały żadne odgłosy. Ze zdruzgotaną miną wybełkotałam w moim kulawym angielskim, że go nie rozumiem – w ogóle, nic a nic. A wtedy on mi odpowiedział – a w każdym razie jestem przekonana, że taka była jego odpowiedź, że właśnie takie słowa ześlizgnęły się z jego warg – że mówię bardzo słabo po angielsku. Straciłam wówczas całkiem ścieżkę dźwiękową. Doznałam odpływu – w Londynie, na rogu Churchway i Stoneway.

Drugi raz zdarzył się w Bretanii, w Plougrescant, kiedy byłam z wizytą u przyjaciela. Jedliśmy akurat razem kolację i znów ucięło mi dźwięk. Widziałam jego siwe włosy i usta rozciągnięte w uśmiechu, spomiędzy jego warg ulatywała jakaś anegdota, ale nasze spotkanie spowiła cisza ciężka niczym ołowiana pokrywa. Mimo wszystko udało mi się odszyfrować „Brazylii” – zapewne opowiadał o wyjeździe na konferencję. Roześmiałam się, żeby jakoś zareagować.

Lekarzowi powiedziałam tylko:

– Pojawiało mi się to stopniowo w sierpniu.

A on odpowiedział, że powinnam się udać do szpitala i poddać leczeniu, ale nie ma pewności, czy to coś pomoże. A jak nie, to jest jeszcze inne rozwiązanie: implant

ślimakowy. Miał na myśli implant w prawym uchu, które jeszcze działało, w przypadku lewego i tak docierałyby do mnie tylko nieczytelne szmery. Wyjaśnił mi, że po długim okresie reedukacji, od sześciu miesięcy do roku, będę słyszała lepiej na wszystkich częstotliwościach. Z tym że taka operacja jest nieodwracalna i straciłabym mój obecny „naturalny” słuch.

Kilka rzęsek, które pozostały mi jeszcze w głębi ucha, wychwytywało wysokie dźwięki i niektóre niskie, co pozwalało mi w sam raz na odtworzenie sensu, a przede wszystkim na cieszenie się nadal ciepłem dźwięków: odcieniem złożonym z podmuchu, barwy i wszelkiego rodzaju nierówności, które składały się na każdy odgłos.

Popatrzyłam na guziki z szarego i niebieskiego plastiku: pomniejszone modele implantu leżące na jej biurku. Wyglądały jak magnesy na lodówkę.

Nie wiedziałam, co jeszcze powiedzieć. Lekarz wyciągnął do mnie dłoń, a ja ją uściśnęłam, żeby jakoś z tego wybrnąć.

3.

Przeniosłam się do gabinetu 237, gdzie sekretarka wydała mi dokumenty, po czym poszłam do skrzydła imienia Babinskiego, nazwanego na cześć pewnego neurologa z początków XX wieku. Przy wejściu wisiała emaliowana tabliczka z jego portretem i napisem: „Józef Babinski (1857–1932)”.

Dowiedziałam się już wcześniej, że był on znany szczególnie z pewnego badania neurologicznego, które polegało na głaskaniu łuku stopy u dorosłych i noworodków w celu wykrycia uszkodzenia nerwów i przypadków demencji. Mniejszą sławę zdobyła jego koncepcja pitiatyzmu (od greckiego słowa „przekonywać”), która miała jednak poważne konsekwencje dla wielu żołnierzy podczas I wojny światowej. Nikt wówczas nie wyróżniał jeszcze urazów psychicznych związanych bezpośrednio z działaniami wojennymi. W duchu profesora Jeana-Martina Charcota, ojca francuskiej neurologii, Babinski zdefiniował nową formę hysterii: w obliczu braku widocznego związku przyczynowo-skutkowego cierpienia wielu żołnierzy uznano za sieroce.

Sierota.

Tak, z pewnością ja też właśnie to zawsze czułam: poczucie braku przynależności do któregośkolwiek ze światów. Nie dość głucha, żeby móc się podczepić do kultury głuchych, niewystarczająco słysząca, aby w pełni uczestniczyć w świecie słyszących. Wszystko zależało od tego, żebym przekonała samą siebie, kim w końcu jestem albo nie jestem. Skutki uboczne, które cholernie nadszarpnęły moje ego i pewność siebie, dla innych były problemami sierocymi, trudnymi do zrozumienia. Czy to stąd wzięło się poczucie braku, które w sobie nosiłam? Z tej nieobecności, którą należało uzupełnić nadmiarem?

Wszyscy mi powtarzali: „Dla ciebie wszystko musi być całkiem czarne albo całkiem białe”, a ja zawsze słyszałam: „Całkiem fajne”.

„Słyszysz to, co chcesz słyszeć”. Jak miałabym ich przekonać, że jest inaczej?

A przecież to wszystko działo się naprawdę, a w szpitalu przyglądano się z bliska, jak mój słuch ginie w bezbrzeżnej otchłani.

Moja matka, pokazując mi okładkę jakiegoś czasopiśma, oświadczyła całą rozemocjonowana: „Zobacz! Po raz pierwszy udało się wykonać zdjęcie czarnej dziury”.

Sięgnij po więcej!



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova